

Celem konserwatywnej polityki środowiskowej nie jest zdrowe środowisko, lecz inne dążenia, których rezultatem jest zdrowe środowisko. Odwołuje się ona do ojkofilii obywateli, a jej efekty obejmują ludzką rezyliencję, autonomiczne stowarzyszenia, rozwiązania rynkowe, skuteczne prawo deliktowe, estetyczne ograniczenia zewnętrzne wyłaniające się z otwartej dyskusji obywateli, bioróżnorodność, piękno przyrody, lokalną autonomię, poważne badania oraz system wyceny i pętli przyczynowo-skutkowych obciążających kosztami tych, którzy je wytwarzają. Celem jest przygotowanie takich warunków, w których ludzie będą zajmować się własnym środowiskiem w duchu odpowiedzialnego zarządzania, a które jednocześnie ułatwią działania polityczne niezbędne, aby zrealizować to, czego nie mogą dokonać „małe plutony”. Kwestie, o których do tej pory pisałem, dotyczą surowca tej polityki oraz filozofii, która się za nią kryje. Nie jest łatwo przełożyć filozofię na politykę. Wstępne propozycje, które wysuwam w tym rozdziale, są jedynie przyczynkiem do dyskusji i należy je udoskonalić.

Zachęciła mnie do tego książka Zaca Goldsmitha *The Constant Economy*, która przedstawiając podejście do polityki w stylu Burke'a, zajmuje się głównymi potrzebami środowiskowymi naszego społec-

czeństwa¹. Choć Goldsmith z pewnością jest nadmiernym optymistą, i wydaje się nie dostrzegać ojkofopii, która ogarnęła nasze społeczeństwo, niemniej daje jasny i zachęcający opis tego, co możemy zrobić, ty i ja, aby umieścić Ziemię z powrotem na jej orbicie.

Pierwszą zasadą każdej polityki konserwatywnej musi być niedopuszczenie, aby państwo podejmowało się zadań, które lepiej zrealizują obywatele. Polityka ta musi pozwalać na osobistą inicjatywę i ją uwalniać, umożliwiać działanie wolontariuszom, zachęcać ich do pracy, poddawać się lokalnym rozwiązaniom i znosić regulacje prawne tam, gdzie są one częścią problemu. Nie oznacza to, że ma to być polityka nieinterwencji, raczej chodzi o uzasadniony podział pracy. Niektóre problemy środowiskowe są tak poważne, że *tylko* państwo może je z sukcesem rozwiązać. Jednym z aspektów polityki konserwatywnej jest określanie tych problemów, a resztą niech zajmie się społeczeństwo obywatelskie. Zacznę od omówienia owych poważnych problemów, a potem przejdę do mniejszych.

W 1972 roku Klub Rzymski wydał słynną książkę *The Limits to Growth*, która przywoływała tezę wielebnego Thomasa Roberta Malthusa. Głosiła ona, że zapotrzebowanie człowieka stale rośnie, a zasoby się zmniejszają wraz z ich używaniem, tak że wreszcie muszą się skończyć². Książka była głęboko kontrowersyjna, a jej najbardziej czarne przewidywania w sposób oczywisty zostały obalone³. Obecnie negocjacje międzynarodowe – zwłaszcza dotyczące zmiany klimatu – nie proponują wstrzymania rozwoju, lecz przyjmują, że aktualne tempo wzrostu jest pożądane, a przynajmniej nieuniknione⁴. Często wskazuje się na to, że właśnie brak rozwoju prowadzi do wyczerpania zasobów, gdy ludziom nie udaje się znaleźć dla nich substytutu. Na

¹ Zac Goldsmith, op. cit.

² Donella H. Meadows i in., op. cit.; Thomas R. Malthus, *Essay on the Principle of Population*, London 1798 (*Prawo ludności*, tłum. K. Stein, De Agostini, Altaya, Warszawa 2003).

³ Zob. H.S.D. Cole i in. (red.), op. cit. Zob. także Matt Ridley, op. cit., rozdz. 4.

⁴ Tak podaje Protokół z Kioto, Raport Sterna i in.

przykład rozwojowi w państwach zachodnich i Japonii towarzyszył spadek zużycia energii na jednego mieszkańca i wzrost wydajnego zużycia niewystarczających zasobów⁵.

Niemniej teza głosząca „granice wzrostu” ciągle powraca w zmienionych formach. W studium opublikowanym w 1976 roku Fred Hirsch dowodzi, że wraz ze wzrostem dobrobytu i ekspansją rynku spada zażyłość i zaangażowanie ludzi; dostatek rodzi wyobcowanie, które z kolei wyznacza „społeczne granice wzrostu”⁶. W ważnym artykule z 1986 roku Peter Vitousek, Paul i Anne Ehrlich oraz Pamela Matson wprowadzili pojęcie „produkcji pierwotnej netto” lądowych ekosystemów, sugerując, że zdolność do fotosyntezy naszej planety wyznacza granice produkcji wartości ekonomicznej⁷. Argumentacja pomija fakt, że ludzie zwiększają zdolność do fotosyntezy ziemi, na której zamieszkują, i stale znajdują na to nowe sposoby. Nawet jeśli ta argumentacja zawodzi, służy zilustrowaniu różnorodności ograniczonych zasobów, które nas utrzymują: fakt, że nie wyczerpiemy jednej ważnej rzeczy, nie dowodzi, że nie wyczerpiemy innej.

Często twierdzi się, że PKB – ekonomiczna miara wzrostu – nie mówi o prawdziwym dobrobycie społeczeństwa⁸. Wyciek ropy z tankowca na morzu jest częścią gospodarki, tak jak wysiłki, aby posprzątać ten bałagan. Wycieki ropy są ostrogą dla PKB, niszczą

⁵ Zob. Michael Brower, *Cool Energy: Renewable Solutions to Environmental Problems*, Cambridge, MA 1992. Zob. także tabelę zużycia energii, wydatkowania i wskaźników emisji w Stanach Zjednoczonych w latach 1949–2009 na stronie US Energy Information Administration: <http://www.eia.gov/emeu/aer/txt/ptb0105.html>. Pokazuje ona, że zużycie energii na głowę dość jednostajnie rośnie, osiąga szczyt w 1979 roku, a następnie zaczyna jednostajnie spadać. W 2009 roku wróciło do poziomu z roku 1968. Co więcej, spożycie energii na jednego dolara PKB stale spadało od 1949 do 2009 roku (całkowity spadek wynosi 58 procent). To samo odnosi się do emisji gazów cieplarnianych na jednego dolara PKB (choć mamy dane tylko z lat 1990–2008) oraz emisji dwutlenku węgla na jednego dolara PKB (spadek wynosi 65 procent od 1949 do 2009 roku).

⁶ Fred Hirsch, *Social Limits to Growth*, Cambridge, MA 1976.

⁷ Peter M. Vitousek i in., *Human Appropriation of the Products of Photosynthesis*, „BioScience”, 1986, 36 (6), s. 368–373. Zob. polemikę z tym artykułem w: Mark Sagoff, op. cit., s. 169–174.

⁸ Zob. Arthur C. Brooks, *Gross National Happiness*, New York 2008.

jednak to, co cenimy⁹. Wzrost jest dobry tylko wtedy, gdy nie uniemożliwia absorpcji odpadów. W tym sensie duża część wzrostu, jaki widzieliśmy od czasu drugiej wojny światowej, nie była zyskiem, tylko stratą – rozległym przywłaszczeniem dóbr z przyszłości, które zużyto i niczym nie zastąpiono. Zatem choć wzrost, mierzony w PKB, będzie wciąż następował, argumentacja *Limits to Growth* wydaje się w sposób oczywisty prawdziwa. Popyt rośnie, nasila się aktywność i pozostają niewchłonięte odpady. Wtedy, jak powiedział poeta William Empson: „z wolna trucizna napęka krwioobieg, a śmieci zostają, zostają i trują”.

Malthus nie był jedynym wśród wielkich pionierów myśli społecznej, który uważali, że ludzie przekroczą zdolność Ziemi do ich utrzymania. John Stuart Mill także widział to niebezpieczeństwo i jako odpowiedź wprowadził pojęcie „ekonomii stanu stacjonarnego”¹⁰. Tylko jeśli uda nam się osiągnąć stałe tempo konsumpcji, uważa Mill, możemy zapewnić stałą dostawę dóbr. Bez tego „stanu stacjonarnego” będziemy ciągle podlegać sytuacjom kryzysowym, a nasze paniczne ataki na zapasy naturalnych zasobów sprawią, że zostaną one nieodwracalnie wyczerpane. W naszych czasach myśl Milla rozwinął Herman Daly, który dowodził, że prawdziwa ochrona środowiska wymaga gospodarki utrzymywanej na „możliwie najniższych przepływach materii i energii od pierwszego etapu produkcji po ostatni etap konsumpcji”¹¹. Argumentację Milla i Daly’ego podjęli obrońcy środowiska i obecnie mamy Center for Advancement of the Steady State Economy (CASSE), organizację non-profit, której baza znajduje się w Arlington, w Wirginii. Daly dalej dowodzi, że życie gospodarcze występuje w obrębie większego ekosystemu i jest podporządkowane

⁹ Sprawę tę z wigorem omawia Zac Goldsmith, op. cit.

¹⁰ John Stuart Mill, *Principles of Political Economy*, księga 4, rozdz. 6, *Of the Stationary State*, London 1848 (*Zasady ekonomii politycznej*, tłum. E. Taylor, PWN, Warszawa 1965).

¹¹ Herman E. Daly, *Steady-State Economics: The Economics of Biophysical and Moral Growth*, San Francisco 1977; idem, *Beyond Growth: The Economics of Sustainable Development*, Boston 2000.

szerszym potrzebom. Gdy uznaje się je za cel sam w sobie, wzrost może stać się zagrożeniem dla zasobów, z których czerpie.

Idea „stanu stacjonarnego” nie wszystkich przekonuje¹². W 1987 roku Światowa Komisja do spraw Środowiska i Rozwoju, pod przewodnictwem norweskiej premier Gro Harlem Brundtland, wydała raport *Nasza wspólna przyszłość*. Raport był reakcją na debatę wokół kwestii „granic wzrostu” i dowodził, że wzrost jest konieczny – zwłaszcza w krajach rozwijających się – jeśli mamy uporać się z problemami środowiska. Raport wprowadzał konkurencyjne pojęcie „zrównoważonego rozwoju”, które nagle stało się hasłem innej szkoły ekologów. Nie wzrost, ale rozwój – innymi słowy, właściwe wykorzystywanie zasobów, aby poprawić jakość ludzkiego życia. Nie eksploatacja, ale szanse na przetrwanie – takie wykorzystywanie zasobów, które zostawia „wystarczająco i tak samo dobrego” dla przyszłych pokoleń.

Wszystkie strony sporu dotyczącego „granic wzrostu” godzą się z tym, że działalność ekonomiczną należy prowadzić w sposób zrównoważony. Istnieje jednak spora kontrowersja, co znaczy słowo „zrównoważony”. Niektórzy radykałowie wbudowali w ten nowy slogan tyle, ile mogli, z lewicowego programu. Dowodzą za Davidem Orrem, że należy teraz zrezygnować z hedonizmu, indywidualizmu i krzykliwej konsumpcji, wraz z finansową i technologiczną złożonością, wybiórczym przywiązaniem lub zaangażowaniem, czy to ideologicznym, czy etnicznym, i odbywającymi się na naszej planecie zbrojeniami¹³. Czy sprawy te są dobre, czy nie, można przewidywać, że wciąganie ich pod sztandary ochrony środowiska jest narażaniem na szwank konsensusu, od którego zależy udana polityka. Rzeczywistości nie pomoże się

¹² Matt Ridley, op. cit., s. 249, krytykuje ją, nazywając „dyrdymałami Pareta”. Trudno pogodzić ekonomię stanu stacjonarnego w jej wszystkich formach z modelem wzrostu ekonomicznego (w ujęciu Roberta Solowa), w którym ekspansję wiedzy technologicznej widzi się jako główny czynnik wzrostu.

¹³ David W. Orr, *Four Challenges of Sustainability*, „Conservation Biology”, 2002, 16 (6), s. 1457–1460. Zob. też wpływową książkę Orra, *Earth in Mind: On Education, Environment, and the Human Prospect*, Washington DC 1993.

przez mnożenie definicji, które sformułowano w następstwie raportu Brundtland, rozróżniających rozwój słaby i silny, głęboki i płytki. Ich mnogość grozi ponownym wszczęciem wszystkich tych bratobójczych sporów między ekologami, które wstrzymują właściwe działania¹⁴. Nie wchodząc w szczegóły tych kontrowersji, powiem po prostu, że proces jest „zrównoważony”, kiedy może toczyć się w dającej się przewidzieć przyszłości, nie wyrządzając nieodwracalnej szkody. Nie wiem, czy ekonomia stanu stacjonarnego jest możliwa do osiągnięcia i godna pożądania, mogę jednak podjąć próbę określenia, czy coś jest zrównoważone, czy nie. Nie można określić, że coś jest przykładem zrównoważonego rozwoju, gdy traktuje się marnotrawstwo i rabunek jako wolne od kosztów efekty zewnętrzne. W każdej polityce ekologicznej pierwszym krokiem musi być wymyślenie schematu, według którego zostaną wycenione koszty zanieczyszczeń i produkcji odpadów, aby konsumenci i producenci mieli bodziec do unikania ich bądź zmniejszania. Stanowi to podstawę zasady „zanieczyszczający płaci”, sformułowanej i zalecanej w 1975 roku przez Organizację Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD)¹⁵.

Rozwój nie jest zrównoważony, jeśli nie opiera się na czystej energii, a jak dotąd nie ma jeszcze propozycji, w jaki sposób dostarczać światu taką czystą energię, która miałaby choć niewielkie szanse zastosowania. Bez względu na to, co myślimy na temat zmiany klimatu, z pewnością zgodna ze zdrowym rozsądkiem jest propozycja, aby czysta energia oznaczała energię, którą można uzyskiwać bez dodawania gazów cieplarnianych do atmosfery. Zwolennicy energii nuklearnej mają rację, podkreślając jej zalety. Energia jednak, która wymaga wydobywania uranu, narzuca koszty środowiskowe, które jej zwolennicy nie zawsze biorą pod uwagę. Poza tym niepokój związany

¹⁴ Zob. polemikę w: Daniel Bonevac, *Is Sustainability Sustainably?*, „Academic Questions” 2010, 23 (1), s. 84–101.

¹⁵ OECD, *The Polluter Pays Principle: Definition, Analysis, Implementation*, Paris 1975.

z możliwością wypadku i ataku terrorystycznego sprawia, że jest ona kontrowersyjna, a jej powszechne zastosowanie spotyka się z silnym sprzeciwem.

Podobnie energia wiatrowa w najlepszym razie stanowi rozwiązanie częściowe, gdyż jest w stanie wyprodukować tylko niewielki ułamek potrzebnej energii. Zmieniająca się prędkość wiatru oznacza, że dostawy energii niebezpiecznie się wahają. Wiatraki muszą więc zawsze mieć wsparcie jakiegoś innego i na ogół bardziej zanieczyszczającego źródła, jednocześnie nagły przypływ energii grozi przeciążeniem sieci energetycznej¹⁶. Zatem nawet w Danii, która rozwinęła do maksimum farmy wiatrowe, tylko 20 procent energii pochodzi z wiatru. Są także inne koszty środowiskowe. Wydaje nam się, że ramiona turbin poruszają się bardzo powoli, jednak na ich końcach szybkość jest bliska prędkości dźwięku. Ptaki i nietoperze nie są w stanie ich ominąć, zatem często giną. Jeśli farmy wiatrowe mają produkować energię w ilości znaczącej dla sieci, potrzebują dużych powierzchni, a platanina kabli i słupów, potrzebna, by zbierać ich skromny produkt, ogromnie zwiększa lokalne nakłady. Między innymi na tej podstawie John Etherington i Matt Ridley z dobrym skutkiem występowali przeciwko farmom wiatrowym budowanym na lądzie¹⁷.

Ponadto, jeśli nie są one usytuowane na morzu, koszty estetyczne farm wiatrowych jeszcze bardziej zmniejszają ich minimalną korzyść ekologiczną. Turbiny zakłócają horyzont jak armia atakujących owadów, ich łopaty poruszają linią horyzontu, surowa struktura jest sprzeczna z konturami ziemi. Wszędzie tam, gdzie osiedlają się ci dziwaczni goście, ludzie stają się niespokojni, a motywowi dobrego zarządzania zostaje zadany potężny cios. Niektórzy ludzie twierdzą,

¹⁶ Problem ten został omówiony przez Davida J.C. MacKaya, op. cit., s. 190–201, który zaproponował jako rozwiązanie elektrownie szczytowo-pompowe. Podsumowanie dowodu zob. Christopher Booker, Richard D. North, *Scared to Death*, op. cit., s. 369–372.

¹⁷ John Etherington, *The Wind Farm Scam*, London 2009. Zob. zwłaszcza rozdział 6 na temat degradacji krajobrazu i dzikiej zwierzyny. Matt Ridley, op. cit., s. 239, 343–345.

że widok turbin im się podoba. Na przykład grupa Yes2Wind, mająca wsparcie Światowego Funduszu na rzecz Przyrody (WWF), Friends of the Earth i Greenpeace, dowodzi na swojej stronie internetowej, że „choć niektórzy wyrażają zaniepokojenie tym, jaki skutek wywierają turbiny wiatrowe na piękno naszego krajobrazu, to inni postrzegają je jako eleganckie i piękne”. Można jednak śmiało powiedzieć, że autorzy tego stwierdzenia z pewnością nie mieszkają z widokiem na taką farmę.

Zanieczyszczenie estetyczne to koszt, który nie wszyscy aktywiści ekologiczni chcą brać pod uwagę. Wielu zwolenników tych wizualnie niepożądanych urządzeń cieszy cios wymierzony nostalgicznym sobkom, którzy kierując się filozofią „nie na moim podwórku”, tak wiele zainwestowali w najbliższe otoczenie. Zwolennicy turbin wiatrowych uważają je za symbol postępu i redystrybucji zasobów. Są one strażnikami sprawiedliwości społecznej, obejmującymi w posiadanie wszystko, co znajduje się pod nimi, w imię bardziej równej przyszłości. Turbiny przypominają leninowską definicję, według której komunizm to „władza rad plus elektryfikacja”. Olbrzymie słupy, które biorą na swoje barki produkt pracy wiatraków i maszerują z nim przez wrzosowiska, budzą te same protesty co turbiny. Najnowszy plan brytyjskiego rządu, aby przeprowadzić rząd olbrzymich słupów przez szkockie Highlands, doprowadził do prawdziwego wysypu inicjatyw obywatelskich, dorównującego temu, jaki pojawił się w obronie Krainy Jezior w dziewiętnastym wieku. Do grup wolontariuszy, takich jak Highlands before Pylons i Cairngorms Revolt against Pylons, dołączył obecnie szkocki National Trust, by wspólnie zastopować to, co powszechnie uważa się za bezbożne pogwałcenie.

Tego typu kontrowersyjne rozwiązania dyskredytują poszukiwanie czystej energii. Konieczne jest oszacowanie kosztów innych możliwości oraz poważne badania nad ujarzmieniem energii słonecznej i sposobami sekwestracji dwutlenku węgla. Powinno się proponować takie

rozwiązania, które zwyczajni ludzie będą chcieli przyjąć, a nie takie, przeciwko którym aktywnie protestują, jak to jest w przypadku farm wiatrowych. Kwestię tę zbadał David MacKay w książce, do której odwoływałem się już kilkakrotnie. Uważnie szacuje w niej koszty wszystkich aktualnych rozwiązań, wskazując jednocześnie na obszary, gdzie badania wydają się najbardziej owocne¹⁸. MacKay dochodzi do dającego się zaakceptować wniosku, że potrzeb energetycznych Wielkiej Brytanii (jedyne państwo, które szczegółowo rozważa) nie można zaspokoić energią odnawialną, taką jak elektrownie wiatrowe i ogrzewanie solarno-termiczne. Brytyjczycy muszą ograniczyć swój popyt, zelektryfikować system transportowy (w tym samochodowy) i zbadać możliwości wykorzystania elektrowni nuklearnej oraz „czystego węgla” (to znaczy spalania węgla w połączeniu z odzyskiwaniem i sekwestracją powstającego dwutlenku węgla). Alternatywą jest dalsze emitowanie gazów cieplarnianych na niedopuszczalną skalę. Ważną kwestią, która wyłania się ze szczegółowego i uczonego wyводу MacKaya, jest to, że redukcja zużycia energii jest w zasięgu możliwości zwyczajnych ludzi i że można ją osiągnąć przy niewielkich nakładach poprzez obniżenie termostatów, wdrożenie paneli solarnych, zastosowanie wydajnych systemów pozostających w trybie gotowości (*stand-by*) i energooszczędnych żarówek.

Do podjęcia tych kroków zachęcają bodźce finansowe, gdyż technologie te zmniejszają domowe rachunki za energię. Jest to także bodziec dla producentów paneli solarnych, systemów ogrzewania wykorzystujących geotermię i energooszczędnych urządzeń, aby obniżali ceny do takiego poziomu, aż ich stosowanie będzie rzeczywście dla ludzi oszczędnością. Na tym obszarze działa rynek, gdyż nikt nie może w łatwy sposób uzewnętrznić kosztów transakcyjnych energii domowej.

¹⁸ David J.C. MacKay, op. cit.

Co jednak z tymi, którzy tę energię produkują? Koszt tego, co robią, w kategoriach globalnego ocieplenia jest niemal niemożliwy do oszacowania, a w każdym razie przeniesiony na przyszłe pokolenia. Jak można ten koszt uwewnętrznić? Z pewnością tylko określone odgórne rozwiązania mogą wprowadzić jakąś zmianę w tym, co robią ci ludzie. Odgórne rozwiązania mają jednak brzydki zwyczaj pogarszania sprawy. Musimy poważnie potraktować argumentację Peltzmana i innych¹⁹ i dostrzec niebezpieczeństwo, jakie się pojawia, gdy próbujemy zagwarantować przyjazny dla środowiska wynik za pomocą regulacji niszczących sprzyjające mu bodźce, którymi już wcześniej się kierowaliśmy.

Jednym z kroków spójnej polityki energetycznej jest zatem pójście za przykładem duńskim i zdecentralizowanie produkcji energii. Rezultatem będzie uwolnienie krajobrazu od słupów wysokiego napięcia oraz przemysł produkujący własną energię z lokalnych źródeł, takich jak panele solarne albo urządzenia i pompy geotermalne. Ekonomicznie ma to sens – utrzymywanie państwowej sieci energetycznej jest kosztowne, a z linii wysokiego napięcia ucieka jedna trzecia prądu. Co więcej, taka polityka tworzy bodźce do produkowania energii w bardziej oszczędny i emitujący mniej gazów sposób, ponieważ zanieczyszczające formy wytwarzania energii z pewnością nie będą tolerowane przez sąsiadów.

Produkcja energii powinna być przedmiotem regulacji, które odpowiadają ogólnym wymaganiom opisanym w rozdziałach czwartym i piątym. Nie powinniśmy ustanawiać przepisów ograniczających dopuszczalne emisje wytwarzane przez nowe samochody czy fabryki, ponieważ to zachęci tylko ludzi do dalszego użytkowania starych samochodów i fabryk. Nie możemy pozwolić, aby prawa do emitowania gazów cieplarnianych wytwarzanych przez przemysł przydzielali

¹⁹ Zob. rozdział czwarty.

przedstawiciele przemysłu. Nie powinniśmy też przydzielać praw do emitowania gazów cieplarnianych, reagując na specjalne interesy i lobb-
bing grup ekologicznych i gałęzi przemysłu. Takie działania bowiem
zniszczą bodźce do badań i rozwoju, które mogłyby doprowadzić
do produkcji wolnej od trujących emisji. Zamiast wszystkich tych
inicjatyw regulacyjnych powinniśmy wprowadzić jednolity podatek
od emisji dwutlenku węgla. Im więcej emitujesz, tym więcej płacisz.
Ponadto podatek ten powinien być nałożony na produkty bez wzglę-
du na kraj ich pochodzenia. Wysokoemisyjne produkty powinny być
opodatkowane w takiej wysokości, która będzie odzwierciedlać liczbę
dwutlenku węgla wypuszczanego podczas ich produkcji, bez względu
na to, czy zostały wytworzone w Wielkiej Brytanii, Stanach Zjedno-
czonych czy Chinach. Władze natomiast powinny wykorzystywać ten
podatek na finansowanie badań. W ten sposób część kosztów zmiany
klimatu będą ponosić ci, którzy najbardziej się do niej przyczyniają
– to znaczy my wszyscy, ponieważ koszt ten zostanie przeniesiony
na konsumenta, który w ostatecznym rozrachunku jest ostatnim
odpowiedzialnym. Nareszcie pętla przyczynowo-skutkowa zacznie
właściwie funkcjonować.

Takie rozwiązanie, podobne do tego, które zaproponował Pigou,
nie jest jedyne²⁰. Zamiast opodatkowania zanieczyszczeń można je
kontrolować, wyznaczając granice dozwolonej kwoty, a potem wy-
puszczać zbywalne pozwolenia – w ten sposób przyjmując podejście
Coase'a (zob. argumentację w rozdziale piątym). Takie rozwiąza-
nie w Stanach Zjednoczonych aktywnie promował zarówno rząd,
jak i Agencja Ochrony Środowiska. Ustawa o czystym powietrzu
z 1990 roku służąca kontrolowaniu kwaśnych deszczy, ustala zasady
sprzedaży emisji dwutlenku siarki. Jak powszechnie wiadomo, system
handlu emisjami tworzy bazę systemu handlu uprawnieniami do

²⁰ Arthur Cecil Pigou zaproponował rozwiązanie dotyczące problemu efektów zewnętrznych, które umożliwia funkcjonowanie „dobrym”, a opodatkowuje „złych”.

emisji dwutlenku węgla, takich jak ten wyznaczony przez Protokół z Kioto czy Europejski System Handlu Emisjami. Takie systemy są próbą stworzenia rynku, który wyznaczy cenę na emisję zgodnie z logiką popytu i podaży. Właściwie funkcjonujący schemat handlu emisjami przyniósłby taką korzyść, że działałby tak, jak działa rynek, w kierunku optymalnej dystrybucji malejącego zasobu²¹.

Jak pokazuje doświadczenie europejskie, systemy handlu emisjami są jednak kosztowne, niezbyt przejrzyste i nadzwyczaj podatne na korupcję. Co więcej, ponieważ są raczej skierowane do producentów energii, a nie konsumentów, fałszywie przedstawiają ciężar odpowiedzialności. To konsumenci w ostatecznym rozrachunku są odpowiedzialni za emisję gazów cieplarnianych, a jak dotąd unikali oni płacenia za swoje nawyki. Opodatkowując konsumpcję, tworzymy więc najlepszy bodziec do redukcji powodującej emisję produkcji. Ponieważ największa konsumpcja jest w najbogatszych krajach Zachodu, gdzie podatki są stosunkowo przejrzyste, a ludzie skłonni je płacić, dałoby to najszybszy skutek.

Taka polityka zyskałaby, jak sądzę, intuicyjne poparcie zwykłych ludzi, a przez podniesienie cen energii dałaby im bodziec do jej oszczędzania. To nie zinternalizuje bezpośrednio kosztów produkcji energii – gdyż nie są to koszty, które można skalkulować, a w każdym razie ludzie, którym należy się rekompensata, jeszcze nie istnieją. Ale wyznacza państwu rolę, którą ludzie uczą się akceptować. Podatki mogą być uciążliwe; ale ludzie są gotowi je płacić, pod warunkiem że nie są źle wykorzystywane (jak miało to miejsce w osiemnastowiecznej Francji albo Grecji w dwudziestym pierwszym wieku) i nie utrzymują klasy pasożytów.

Ta ostatnia kwestia zwraca uwagę na zagadnienie, o którym często nie pamiętają obrońcy rozwiązań rynkowych, mianowicie kwestię

²¹ Zob. przekonującą obronę systemu handlu emisjami w: David Pearce i in., *Blueprint for a Green Economy*, op. cit.

badania. W pewnych okolicznościach konkurencja na rynku będzie stymulowała badania – pod warunkiem że odkrycia są chronione patentami, które uzasadnią nakłady na badania. Ma to jednak także pewne ujemne strony. Możliwe musi być przełożenie tych odkryć na zysk, to znaczy na coś, za co konsumenci są obecnie gotowi zapłacić. W przypadku czystej energii korzyści nie odniosą aktualni konsumenci, ale ich następcy. Tak więc rynek nie będzie tworzył bodźca do prowadzenia bardzo kosztownych badań, które są nieodzowne.

Paul David dowodził, że w siedemnastym wieku doszło do rewolucji naukowej głównie dlatego, że wiedza przestała być czymś hermetycznym, tajemnym, niczym magia, czy dającym władzę nad przeciwnikami. Stała się natomiast dobrem publicznym, przynoszącym szacunek i status zarówno tym, którzy ją zdobyli, jak i patronom, którzy ich wspierali²². System otwartej nauki zachęcał do publikowania badań i dzielenia się wynikami oraz do wykorzystania każdego nowego odkrycia przez tych, którzy mogli zrobić z niego najlepszy użytek. Rezultatem tego była rewolucja naukowa.

Wątpię, aby system otwartej nauki mógł przetrwać bez znacznych nakładów publicznych. Już teraz uniwersytety starają się zdobywać środki, patentując swoje wyniki naukowe. Taki ruch zagraża akademickiemu charakterowi badań naukowych. Bez projektów badawczych finansowanych publicznie praktyka ta się nasili. Badania konieczne, aby rozwiązać problem czystej energii, będą wszechstronne, obejmą naukowców z całego świata i z pewnością prywatne spółki nie

²² Paul A. David, *The Historical Origins of „Open Science”: An Essay on Patronage, Reputation and Common Agency Contracting in the Scientific Revolution*, „Capitalism and Society”, 2008, 3 (2). Zob. cały artykuł na <http://www.bepress.com/cas/vol3/iss2/art5> i cały numer pisma, zawierający także omówienie tego artykułu autorstwa Kennetha Arrowa na <http://www.bepress.com/cas/announce/2008>. Zob. także Richard R. Nelson, *The Market Economy, and Scientific Commons*, dokument dla Laboratorium Ekonomii i Zarządzania w Scuola Superiore di Sant’Anna w Pizie, <http://www.lem.ssup.it/WPLem/2003-24.html>.

będą w stanie ich skutecznie finansować²³. Nie będą też ich finansować państwa rządzone przez ściśle powiązane, dbające o swoje interesy elity, jak te, które rządzą w Chinach. Wrażliwa polityka ochrony środowiska musi zatem przyznać istotną rolę państwu – opodatkowanie emisji dwutlenku węgla i finansowanie badań nad jej redukcją. Jeśli jednak ich finansowanie miałoby pochodzić z podatków, to badania te będą zagrożone przez swój własny sukces.

Oto jeden z węzłów tej polityki, który trudno rozwiązać – podobnie jak węzeł akcyzy na wyroby tytoniowe, z której są finansowane kampanie rządowe zwalczające nałóg, który z kolei dostarcza środków na uzyskanie tej akcyzy. Rozwiązania Pigou są przedmiotem powszechnej krytyki. Nie obciążając podatkami dobrych rzeczy (takich jak zatrudnienie) i nakładając je na złe rzeczy (jak hazard czy zanieczyszczenia), rozwiązania Pigou sprawiają, że wypłacalność rządu zależy od niewłaściwego postępowania rządzonych. Sukces polityki rządu jest jego porażką, gdy chodzi o wpływy z podatków i na odwrót; a niewypłacalny rząd nie może prowadzić z sukcesem polityki. Zatem rozwiązania Pigou są w najlepszym razie tymczasowe; ich celem jest zapewnienie ciągłości toczących się spraw, w czasie gdy społeczeństwo obywatelskie będzie usiłowało uporać się z tym problemem.

Celem polityki konserwatywnej musi więc być takie zarządzanie środowiskiem, w wyniku którego dobre rezultaty pojawiają się spontanicznie na skutek tego, co robią zwykli ludzie. Oznacza to tworzenie i utrzymywanie pętli przyczynowo-skutkowych, które sprawiają, że ludzie ponoszą koszty swojej działalności, i nie pozwalają przerzucać tych kosztów na przyszłe pokolenia. Jak dowodziłem, będzie to oznaczało taką reformę odpowiedzialności deliktowej, aby karze podlegali raczej ci, którzy tworzą problemy środowiskowe,

²³ Zob. Lee Lane, David W. Montgomery, Anne E. Smith *Institutions for Developing New Climate Solutions*, Proceedings of the International Seminars on Planetary Emergencies, 42nd Session, 19 sierpnia 2010.

a nie ci, którzy są w stanie za nie zapłacić. Będzie to wymagało systemu regulacji przeznaczonych do naprawy efektów zewnętrznych – choć nie regulacji o zerowej tolerancji. Przyzwyczailiśmy się do niej w Europie, gdzie biurokraci, którzy nie ponoszą przed nikim odpowiedzialności, mają wolną rękę w dzieleniu naszych problemów wedle swego widzimisię i potem załatwianiu ich po kolei. Przepisy powinni ustanawiać wybrani w procesie wyborczym politycy, i po konsultacji z ekspertami, w taki sposób, aby regulacje te podlegały ciągłej rewizji na poziomie politycznym, w świetle konsekwencji, do których prowadzą. Przepisy, tam gdzie to możliwe, powinno się zastępować upomnieniami, aby przekazywać ryzyko konsumentowi. Taka polityka jest nieodzowna do tego, by w zarządzaniu ryzykiem stawiać rezyliencję przed powstrzymywaniem (*interception*), a odpowiedzialność przed zależnością.

Wzrost populacji sam w sobie nie zakłóca zdolności zwykłych ludzi do zarządzania środowiskiem, o czym świadczy udana urbanizacja „Five Towns” w dziewiętnastym wieku i gwałtowny wzrost lokalnych grup społeczników dbających o dobro wspólne w Ameryce. Istnieje jednak ogromna różnica między przyrostem naturalnym i migracją wewnętrzną a wzrostem liczby ludności z powodu imigracji. Widać wyraźnie, że zwykli ludzie są mniej skłonni do ofiar na rzecz środowiska, kiedy ich przywiązanie do okolicy zostało zastąpione rywalizacją broniących swej tożsamości plemion, rodzin czy religii. Trudno pisać o tych sprawach, tak wielkie było zastraszanie tych, którzy bronili kontroli imigracyjnych i ostrzegali przed rozdrabniającym efektem wielokulturowości. Mimo to oczywiste jest, że konserwatywna polityka środowiskowa, która nie stawia granic imigracji i nie podejmuje wysiłków, aby zintegrować nowo przybyłych, zaszczepiając im ojkofilie, od której zależy państwo narodowe, nie ma szans na sukces.

Najwyraźniej Europa i Ameryka miały różne polityczne wymagania, gdy chodzi o imigrację. W Ameryce imigranci w drugim pokole-

niu zadowolili się, stając się amerykańskimi ojkoofilami, z oczami skierowanymi na „mały domek w Alabamie”, o którym Brecht pisał z taką drwiną w *Siedmiu grzechach głównych*. W Europie nie dzieje się to automatycznie; ostatnie wydarzenia pokazały, że „społeczeństwo wielokulturowe” nie jest rozwiązaniem, tylko problemem, który trzeba rozwiązać. Zadaniem szkół, uniwersytetów i inicjatyw społecznych powinno być po części integrowanie mniejszości z kulturą narodową, a nie pielęgnowanie ducha osobności.

Mamy coraz więcej dowodów na to, że liczba ludności rośnie o wiele wolniej lub w ogóle maleje, gdy ludzie osiągają pewien poziom komfortu, a strata nie zostaje uzupełniona przez imigrację. Korzyść dla środowiska wynikająca z tej sytuacji jest równoważona przez olbrzymie koszty społeczne, związane z utrzymywaniem starzejącej się populacji z pracy i podatków malejącej siły roboczej. Aby jak najlepiej wykorzystać ten zysk dla środowiska, polityka powinna dążyć do podnoszenia wieku emerytalnego i wprowadzania kapitałowego filaru w systemie emerytalnym, jak również do tego, by zachęcać ludzi starszych do dalszej pracy i nieprzenoszenia kosztów swego życia na młodych. Polityce środowiskowej, która nie widzi starzenia się jako części problemu, w moim przekonaniu nie uda się utrzymać kontaktu z rzeczywistością.

Wzrost populacji to jeden problem, wzrost mobilności to drugi. Paliwa kopalne umożliwiły ludziom pokonywanie większych odległości do tego stopnia, że rozbite zostały tradycyjne wzorce osiadłości. Niektóre kraje (zwłaszcza Wielka Brytania i Szwajcaria) przyjęły takie przepisy zagospodarowania przestrzennego, które starają się utrzymać osady w ich tradycyjnych granicach i chronić centra miejskie przed zniszczeniem. Inne kraje – zwłaszcza Stany Zjednoczone i Kanada – pozwoliły, aby osady rozrastały się do najdalszych granic osiągalnych przez podróżujących samochodami. Wprowadziły też strefy dla podmiejskich centrów handlowych i okręgów przemysłowych.

wych, co jeszcze zwiększyło konieczność przemieszczania się. Nawet w Wielkiej Brytanii dotowana ekspansja dróg i osiedli podmiejskich w połączeniu z przepisami dotyczącymi pakowania żywności sprawiła, że supermarkety osiągnęły wysokie korzyści finansowe wypływające z handlu na masową skalę, jednocześnie przekazując przyszłym pokoleniom produkty uboczne paliw kopalnych, niebiodegradowalne opakowania i zanieczyszczenia estetyczne.

W chwili obecnej koszt energii pochłanianej podczas transportu nie spada na konsumenta. Przez jawne i ukryte dotacje zostaje rozproszony na całe społeczeństwo, w tym na nienarodzonych. Odesłanie kosztów do konsumenta powinno być priorytetem każdego rządu. Można to do pewnego stopnia osiągnąć poprzez podatek kilometrażowy od użytkowania dróg i podatek paliwowy od emisji dwutlenku węgla. Problemu transportu nie rozwiąże jednak nic, co nie zadośćuczyni lokalnej gospodarce, zwłaszcza gospodarce żywnościowej, którą zniszczyły ukryte dotacje dla sieci supermarketów i polityka twardej ręki państwa w odniesieniu do rolnictwa.

Globalna gospodarka żywnościowa przynosi korzyści rolnikom z Trzeciego Świata i niekoniecznie jest aż tak destrukcyjna, jak dowodzą jej przeciwnicy. Zakłócają ją jednak dotacje, zwłaszcza te, których udziela się dużym producentom w Europie i Stanach Zjednoczonych. Zakłóca ją lobbowanie Światowej Organizacji Handlu przez takich globalnych producentów, jak Monsanto, i pozbawione skrupułów wykorzystywanie Porozumienia w sprawie handlowych aspektów praw własności intelektualnej, by konfiskować kapitał społeczny gospodarek wiejskich²⁴. Globalna gospodarka żywnościowa jest odbiciem centralnych przepisów i dotacji, a nie wolnego handlu dobrami, których koszty zostały założone przez producenta. Oczywiście prawdą jest, że dzięki

²⁴ Por. głośne opatentowanie ryżu basmati przez RiceTec. Zob. Matthew Clement, *Rice Imperialism: The Agribusiness Threat to Third World Rice Production*, www.bulatlat.com, 8–14 lutego 2004.

globalnemu handlowi zmieniły się powszechne gusty; obecnie ulubionym daniem Brytyjczyków są kurczaki tandoori, przygotowywane według indyjskiej receptury, a hamburgery zyskują popularność nawet we Francji. Natomiast gusty kosmopolityczne mogą być kompatybilne z lokalną gospodarką żywnościową. Od ponad dwustu lat Brytyjczycy przyrządzają czatni, indyjski sos owocowy, z miejscowych gruszek i jabłek, a północnoafrykańska kuchnia, tak lubiana w Marsylii, zaopatruje się w kuskus i papryki uprawiane lokalnie oraz w pikantne kielbaski merguez robione z miejscowej jagnięciny.

Nie ma zatem żadnych racji społecznych, żeby drobni farmerzy i ich produkty nie zajmowali tego miejsca w gospodarce, które zajmowali kiedyś. Osiągnięcie tego wymaga stopniowego wyeliminowania przepisów o zerowej tolerancji, którym sprostać mogą tylko wielcy producenci. Dopuszczalna powinna być sprzedaż żywności w bramie farmy lub na lokalnym targu bez opakowań, tak jak sprzedaje się w całej Afryce. Dopuszczalna powinna być sprzedaż takich produktów, jak niepasteryzowane mleko i ser, właściwie oznakowanych, niosących pewne ryzyko związane z terminem ich przydatności do spożycia, które musi uwzględnić nabywca. Powinien być dopuszczalny ubój zwierząt na farmie, pod warunkiem stosowania humanitarnych metod. Wyrzucmy całą masę przepisów, które utrudniają te zdrowe praktyki, a mali farmerzy i rynki wiejskie będą mogły rywalizować z wielkimi producentami i supermarketami. Supermarkety powinny dostosować się do narzuconych warunków zabudowy właściwych dla miejskich centrów, aby lokale położone na obrzeżach miast przestały być lepszą opcją niż wpasowanie się w centrum. Zaczniemy proces pobierania odpowiednich opłat za użytkowanie dróg, aby można było określić cenę transportu zgodnie z jego faktycznym kosztem. Zróbmy to wszystko, a lokalna gospodarka żywnościowa znowu będzie konkurencyjna i uspokoi się jakaś część tego szalonego ruchu, który obecnie ogarnia kulę ziemską.

Na krótką metę nie będzie możliwe wycofanie się ze wszystkich dotacji dla sektora rolnego. Możliwe jest – i zarówno Unia Europejska, jak i rząd Stanów Zjednoczonych dostrzegły tę możliwość i podjęły nad nią pracę – skierowanie dotacji w inną stronę, odejście od dofinansowywania jednego typu plonów i dążenie do zachowania bioróżnorodności, ochrony siedlisk i piękna przyrody. Kiedyś były to *produkty uboczne* dawnego stylu uprawiania ziemi. Ten styl jednak został zniszczony. Dziś muszą zatem stać się *głównymi produktami* nowego sposobu uprawy i gospodarowania, który traktuje poważnie koszty ekonomiczne wynikające z agrobiznesowego systemu rolnictwa, stosującego nawozy sztuczne i pestycydy. Badania przeprowadzone przez Julesa Pretty'ego i potwierdzone przez innych sugerują, że roczne koszty zewnętrzne obecnej gospodarki żywnościowej i rolnej w Wielkiej Brytanii są wyższe o ponad miliard funtów niż koszty właściwie zlokalizowanego i z perspektywy organicznej zarządzanego systemu alternatywnego²⁵. Rosnąca powszechna świadomość szkód wyrządzanych ekosystemom przez współczesne technologie gospodarowania zrodziła wiele inicjatyw. Pierwsza z nich, bardzo wpływowy ruch na rzecz „biodynamiki” Rudolfa Steinera, pojawiła się już niemal wiek temu. Obecnie w Wielkiej Brytanii wolne od dotacji rolnictwo, w którym zlikwidowano by korzyści, jakimi cieszą się wielcy truciście i przemysł rolny, popierają Countryside Restoration Trust i Family Farmers Association. W USA małe farmy, prowadzone przez hobbistycznych rolników i producentów żywności organicznej, jak dotąd dostarczają 3 procent produkcji rolnej, lecz procent ten stale rośnie. W całym kraju powstają czasopisma i kluby dla hobbistycznych rolników, a ruch lokalnej żywności na-

²⁵ Jules Pretty i in., op. cit. Organiczne rolnictwo jest jednak tak samo zależne od paliw kopalnych jak inne metody uprawy i potrzeba dodatkowej ziemi na uprawę roślin żyjących w symbiozie z bakteriami azotowymi, które są konieczne w przypadku braku nawozów sztucznych. Zob. Alex Avery, *The Truth about Organic Foods*, London 2006.

biera rozpędu²⁶. Pojawiło się nowe zainteresowanie permakulturą. Stowarzyszenie Permakultury (Permaculture Association) prowadzi kursy, a „Permaculture Magazine” ma coraz więcej prenumeratorów. Oczywiście, oczekiwanie, że można wyżywić całą ludność bez dużych gospodarstw, które obecnie dostarczają takie podstawowe produkty, jak ziemniaki czy kukurydza, jest nierealistyczne. Odrodzenie się lokalnych rynków zmieni jednak sposób, w jaki te farmy produkują i rozprowadzają swoje plony.

Pastwiska, żywopłoty, młodniki, zarośla i strumienie Anglii utrzymywano nie tylko dlatego, że ludzie je kochali. Tworzono je i utrzymywano dla korzyści własnej tych, którzy uprawiali i posiadali ziemię. Pojawiały się dzięki „niewidzialnej ręce” jako skutek gospodarki hodowlanej, historycznego prawa do przemieszczania się i utrzymywania granic, uprawiania sportów na wolnym powietrzu i lokalnej gospodarki żywnościowej, w której mleko i ser sprzedawało się na targu. Jeszcze do niedawna ta lokalna gospodarka żywnościowa trwała niezmienną, podobnie jak nienaruszone były inne interesy ekonomiczne, które utrzymywały krajobraz. Zastąpienie lokalnych gospodarek żywnościowych globalnym supermarketem nie jest wynikiem wolnej i sprawiedliwej konkurencji. Jest efektem ukrytych dotacji i narzuconych regulacji – zwłaszcza dotyczących zdrowia i bezpieczeństwa – którym tylko scentralizowany biznes może sprostać. To władze, a nie społeczeństwo obywatelskie, zniszczyły lokalną gospodarkę. I jeśli spojrzymy na lokalną gospodarkę żywnościową jako na część zrównoważonego rozwoju, to powinniśmy starać się ze wszystkich sił, by przeciwdziałać machinie regulacyjnej i zlikwidować lub przekierować system dotacji.

Wymiar lokalny nie tylko daje największą nadzieję na zrównoważone rolnictwo i gospodarkę żywnościową, ale stanowi również

²⁶ Odwiedź stronę internetową Local Harvest, aby otrzymać aktualne dane na temat lokalnej żywności, i Farm Aid, by zapoznać się z wysiłkami, jakie podejmowane są w celu ratowania małych farm rodzinnych.

silny hamulec uzewnętrzniania kosztów. W środowisku lokalnym, w którym ludzie się znają i obserwują nawzajem swoje wykroczenia, presja społeczna uwewnętrznia koszty. Na poziomie lokalnym konserwatywna polityka środowiskowa nie polega na tym, że rząd dąży do zagwarantowania korzyści środowiskowych, lecz na tym, że daje możliwość ludziom, by sami sobie te korzyści zagwarantowali. Schyłek stowarzyszeń obywatelskich udokumentowany przez Roberta Putnama ma wiele przyczyn. Jedną z istotniejszych było odebranie obywatelom władzy przez państwo. Wielu farmerów chciałoby sprzedawać swoją żywność na rynkach lokalnych – niestety, uniemożliwiają im to przepisy dotyczące zdrowia i bezpieczeństwa. Wiele wspólnot zjednoczyłoby się przeciwko rządowym planom narzucającym im lotniska lub drogi, gdyby sprawy były poddawane – tak jak w Szwajcarii – głosowaniu w referendum na szczeblu lokalnym. Decyzje związane z planowaniem przestrzennym pozostawałyby w zgodzie z wymogami piękna i możliwościami dostosowania się, gdyby znajdowały się w rękach sąsiadów, a nie były narzucane przez centralną maszynę. Na ogół polityka konserwatywna powierza decyzje ludziom, których one najbardziej dotyczą, i im też każe oceniać ryzyko. Postrzega państwo jako przyjaciela społeczeństwa obywatelskiego, a społeczeństwo obywatelskie jako samoregulujący się organizm, w którym rezyliencja i pomysłowość, a nie przepisy i zależność są narzędziami przetrwania.

Czy żądanie powrotu do takich konserwatywnych sposobów myślenia jest utopią? Nie sędzę. W istocie ludzie z własnej woli zmierzają w tym kierunku. W Wielkiej Brytanii zrodził się niedawno ruch Miast Przemian, obejmujący miasta, w których obywatele łączą się, aby żyć w bardziej zrównoważony sposób. Zaczęto wsłuchiwać się w zalecenie Simona Fairliego, aby stosować „rozwój o niewielkim oddziaływaniu” (Low Impact Development, LID)²⁷, a uznanie zyskują zwolennicy

²⁷ Zob. Simon Fairlie, op. cit.

stylu życia o niskiej emisji dwutlenku węgla i wiejskie targowiska. Chociaż machina regulacyjna nadal się rozrasta i wciąż mnożą się efekty zewnętrzne, widzimy, że ludzie coraz bardziej wrogo reagują na nachalne regulacje i szukają sposobów, by je omijać. Dzieje się to już na obszarach wiejskich. Wszyscy przyzwoici ludzie zaczynają dostrzegać, że musimy podejmować ryzyko, które do nas należy: że sami musimy robić postępy w oczyszczaniu ziemi. Jeśli ojko filia ma przetrwać, to właśnie tak powinniśmy działać, dzięki inicjatywom obywatelskim, które stanowią naturalne zasoby wszystkich ludzi kochających swoje siedlisko, miejsce, w którym żyją. Największe niebezpieczeństwo dla środowiska, jak mi się zdaje, wynika z narastającej tendencji rządów do odbierania autonomicznym stowarzyszeniom uprawnień i swobód oraz skupiania wszelkiej władzy w swoich rękach. Jeśli ludzie mogą się jednaczyć, to mogą też wygrać.

Ostatnie słowo na temat globalnego ocieplenia. W umysłach wszystkich powstaje pytanie, co zrobimy, jeśli prawdziwy okaże się najgorszy scenariusz? Odpowiedź aktywistów jest prosta: zbierzemy się na międzynarodowych konferencjach i przygotujemy traktat, który zakończy nasze niewłaściwe postępowanie. Ta odpowiedź bazuje na błędnym postrzeganiu polityki międzynarodowej. Aktywistom nie udaje się również dostrzec różnicy między tymi państwami, które mogą się związać traktatami, a tymi, które się nimi związać nie mogą. Oczywiście, jeśli my jesteśmy zagrożeni, to my musimy coś zrobić. Kim jednak są ci „my”? Jest tylko jedna odpowiedź: my to ci, którzy są zdolni do zbiorowego działania, którzy mają zasoby, wolę i wspólny cel, aby działać jako jedność. Innymi słowy, my to wspólnoty potrafiące razem działać, które mogą przyjąć zbiorową odpowiedzialność za to, co robią. W kontekście polityki międzynarodowej oznacza to, że my to naród – praworządne zgromadzenie, które łączy wspólny proces polityczny. Jedyną odpowiedzią na globalne ocieplenie jest działanie pojedynczych państw narodowych – na tyle bogatych, aby

mogły prowadzić badania i działać na wymaganą przez zagrożenie skalę, na tyle odpowiedzialnych, aby chciały zareagować na potrzebę, i w których opinię publiczną kształtuje otwarta dyskusja. W tych okolicznościach oznacza to, po pierwsze, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, po drugie, wszystkie te państwa, w których prawo, demokracja i wolna opinia służą do tego, aby budzić w obywatelach poczucie zbiorowej odpowiedzialności. Nie oznacza to Chin, Rosji ani żadnej afrykańskiej czy bliskowschodniej kleptokracji.

Kiedy takie „my” podejmuje działanie, może zrobić dwie rzeczy: stać się przykładem, jak było w przypadku Skandynawów, i podjąć inicjatywę, która upora się bezpośrednio z globalnym problemem poprzez badania nad czystą energią, sekwestracją dwutlenku węgla oraz korzyściami i kosztami geoinżynierii. Może się okazać, że konieczne będą wszystkie te działania. Jedno jest pewne: niczego nie osiągnie się tylko dzięki międzynarodowym konferencjom i traktatom i wszystko jest uzależnione od poczucia, jakie ma każdy z nas w kwestii odpowiedzialności za swój dom. Jedyne możliwe rozwiązanie globalnego problemu wynika z motywacji, którą nakreśliłem w tej książce.

Nacisk na znaczenie tej motywacji nie jest równoznaczny z popieraniem anarchii lub negowaniem potrzeby legislacji. Jest wyznaczeniem celu, do którego legislacja musi zmierzać. Do rozwiązania wielu problemów środowiska potrzebna jest władza państwowa. Należy jednak tak je rozwiązywać, żeby wzmacniać ojkofilie, a nie ją tępić. System nakładania opłat za przemieszczanie się po naszych drogach, za śmieci i opakowania, w którym koszty spadną na użytkownika, obejmie wszystkich i nie będzie użyteczny, jeśli państwo nie narzuci go wszystkim jednakowo. Ten system jednak będzie zachęcać do takiego stylu życia, który wzmocni miłość do naszej własnej okolicy. W rezultacie państwo zyska legitymizację, gdyż będzie postrzegane jako wyraz żywotnego społeczeństwa obywatelskiego, zdolnego podejmować działania na rzecz narodu jako całości. Państwo, dzia-

łając zawsze tak, by zwiększać ojkofilię i nie zawłaszczając sfery jej uprawnionego działania, przygotowuje ludzi do ponoszenia ofiar, które obecnie są nieuniknione, jeśli Ziemia ma być dla nas domem, a nie miejscem wygnania.

Emisja dwutlenku węgla do atmosfery wynosi średnio 5 ton rocznie na jednego mieszkańca Ziemi. W przypadku Amerykanów jest to 20 ton, a Afrykanów subsaharyjskich – 1 tona lub mniej¹. Ponadto świat zachodni ogólnie, a jego przemysłowe rejony w szczególności, miał na starcie przewagę nad innymi, ponieważ kraje zachodnie emitują gazy cieplarniane już od dwóch wieków. Sprawiedliwie byłoby więc, gdyby państwa zachodnie nie tylko istotnie zredukowały swoje emisje, ale zrekompensowały mniej rozwiniętym krajom odebranie im szansy na emitowanie gazów cieplarnianych do atmosfery bez liczenia kosztów. Gdy chodzi o tę sprawę, jak i wiele innych, Zachód wziął więcej, niż wynosi jego udział we wspólnym pastwisku.

Ten argument co jakiś czas pojawia się w międzynarodowych negocjacjach dotyczących zmiany klimatu. Znajdziecie go także w poważniejszych próbach oszacowania kosztów wynikających z realizacji celów wyznaczonych przez Protokół z Kioto albo Międzyrządowy Zespół do spraw Zmian Klimatu (IPCC)². Co powinniśmy o tym są-

¹ Ross Garnaut i in., *The Implications of Rapid Development for Emissions and Climate-change Mitigation*, [w:] Dieter Helm, Cameron Hepburn (red.), op. cit.

² Nicholas Stern, op. cit.; Dieter Helm, Cameron Hepburn (red.), op. cit.; Henry D. Jacoby i in., *Sharing the Burden of GHG Reductions*, MIT Joint Program on the Science and Policy of Climate Change 2008, raport nr 167.

dzić? Po pierwsze, terminy takie jak „kraj”, „kraje zachodnie” i „kraje rozwijające się” są nieostre. Kwestie sprawiedliwości nie zarysowują się między jednostkami geograficznymi, ale między *podmiotami działań*, mającymi prawa, których mogą się domagać, i obowiązki, które muszą wypełniać. Sprawiedliwość i niesprawiedliwość są cechami czynów i podmiotów, które je spełniają. I choć mogą istnieć podmioty zbiorowe, które szerzą bądź znoszą niesprawiedliwość, „kraje” do nich nie należą. Tylko zbiorowość, która może określać się w pierwszej osobie liczby mnogiej, jest w stanie działać i odpowiadać za swoje czyny. Rozmowy na temat globalnej sprawiedliwości zakładają zatem istnienie „my” działania zbiorowego – tego samego „my”, które było tematem tej książki. Żaden rząd nie jest w stanie reagować na żądanie globalnej sprawiedliwości, jeśli nie uważa się za przedstawiciela narodu odpowiedzialnego za zło i odbierającego zasługi za dobro, które „my” jako naród uczyniliśmy.

Żądanie globalnej sprawiedliwości wymaga zatem, abyśmy uznali państwo narodowe za podstawowy nośnik politycznej odpowiedzialności. Co więcej, żądania sprawiedliwości są oparte nie na stanach rzeczy, ale na odpowiedzialności, którą krystalizują. Dowód odpowiedzialności wymaga określenia, w jaki sposób obecne pokolenia będą dziedziczyły błędy swoich poprzedników, w sytuacji gdy ich więź z poprzednikami wyraża się w kategorii pierwszej osoby liczby mnogiej państwa narodowego. Takie nieostre terminy jak „kraj” mogą być używane, aby zarzuty dotyczące zbiorowej winy stały się emocjonalnie satysfakcjonujące, lecz zarzuty te mogą zostać zmienione w określone prawnie żądania tylko wtedy, gdy rozstrzygniemy pytania o podmiot działań, osobowość i międzypokoleniową odpowiedzialność.

Problem ten jest częściowo natury filozoficznej, częściowo politycznej. Kontraktariańskie teorie sprawiedliwości, jak ta znakomicie rozwinięta przez Johna Rawlsa, przypisują korzyści i koszty członkom „społeczeństwa”, które jest przedmiotem kontraktu. Nie

są to teorie globalne, ponieważ ludzie znajdujący się poza zakresem kontraktu nie są brani pod uwagę. Tak więc teorie te nie dają jasnej odpowiedzi ani na pytania o międzypokoleniową sprawiedliwość, ani na pytania o sprawiedliwą dystrybucję w obrębie świata korzyści i kosztów ekonomicznego wzrostu. Próbując uzupełnić ten niedostatek, Amartya Sen proponował ideę sprawiedliwości jako „bezstronności” (*impartiality*), w duchu dyskusji Adama Smitha na temat bezstronnego widza³. „Oddaję sprawiedliwość” innym, kiedy patrzę na nich z bezstronną troską i mam dla nich takie samo zrozumienie, które chciałbym, aby oni mieli dla mnie. Muszę pominąć różnice narodowości i sieć kontraktowych i historycznych ewentualności, które wiążą innych, ale nie mnie. Właśnie taką postawę – która, jak twierdzi Sen, jest skierowana na zadawanie pytań, a nie na udzielanie schematycznych odpowiedzi – należy przyjąć w rozważaniach nad globalną sprawiedliwością.

Siła heurystycznego przykładu Adama Smitha jest niezaprzeczalna. Bezstronność i sprawiedliwość sąsiadują ze sobą w ludzkim umyśle i tworzą konieczną równowagę w relacjach międzyosobowej odpowiedzialności, o czym mówiłem w rozdziale szóstym. Bezstronność każe mi nie lekceważyć sytuacji ubogiego Hindusa tylko dlatego, że mieszka w Indiach, ani sudańskiej matki tylko dlatego, że jej zmagania, aby przeżyć, rozgrywają się w odległym Sudanie. Nie pozwala mi jednak także lekceważyć ich lokalnych przywiązań tylko dlatego, że są wykluczające, ani nie szanować ich plemiennych, narodowych i religijnych lojalności dlatego, że są sprzeczne z moimi. Chociaż Sen chce przejść od bezstronności do czegoś w rodzaju oświeceniowego uniwersalizmu, może nawet do konsekwentnie globalnego postrzegania politycznego procesu decyzyjnego, jednak tego kroku nie stawia. Bezstronne spojrzenie na kondycję ludzką musi z pewnością zakładać,

³ Amartya Sen, *The Idea of Justice*, London 2009.

że o ile ojko filia jest uniwersalną kategorią ludzkiego funkcjonowania, to jej przejawy są zasadniczo konkretne, lokalne, narodowe i terytorialne. I właśnie w ten sposób należy rozumieć międzypokoleniową lojalność. Oddaję sprawiedliwość moim przodkom, szanując ich osiągnięcia i spełniając ich wolę. Mogę oddać sprawiedliwość moim następcom dzięki właściwemu zarządzaniu dobrami, nad którymi trzymam w ich imieniu pieczę. I możemy oddawać sprawiedliwość przodkom i następcom jako grupa. Żaden człowiek jednak nie może dokonać globalizacji tego naturalnego sentymentu, a wszelkie próby, aby to zrobić, zawsze prowadzą do radosnych aktów odrzucenia, po których nie ostają się już żadne powinności.

Bez wątpienia Brytyjczycy skorzystali z dobrobytu powstałego podczas dwustuletniego emitowania gazów cieplarnianych i to może obecnie zawężyć możliwości, jakie mają mieszkańcy Afryki. Mówiąc w kategoriach moralnych, odziedziczyliśmy korzyść, za którą powinniśmy postarać się jak najrzetelniej zapłacić. Jakie są jednak tego polityczne konsekwencje? Czy Brytyjczyków albo Wielką Brytanię jako ich politycznego przedstawiciela należy surowo pociągnąć do odpowiedzialności za szkody, które wyrządzili w Afryce Subsaharyjskiej, tak jak pan Rylands został surowo pociągnięty do odpowiedzialności za zalanie kopalni pana Fletchera? A jeśli tak, to gdzie będzie kres takiego rozumowania? Czy można realnie policzyć koszty poniesione przez Afrykę? A co z korzyściami? Energia spożytkowana przez Brytyjczyków umożliwiła im szerzenie w całej Afryce praworządności i całego mnóstwa osiągnięć technicznych. Czy tę korzyść można wprowadzić do ostatecznego rachunku? Czy może powinno się ją pominąć, ponieważ została zaprzepaszczona przez kleptokracje, które ją potem przejęły? Może 20 ton na jednego mieszkańca, które są dziś udziałem Amerykanów, to część kosztów *pax Americana*, bez którego świat byłby (według Johna, ale nie według Mary) o wiele bardziej niebezpiecznym miejscem, niż jest.

Wyraźnie widać, że nie wiadomo, dokąd to rozumowanie zmierza. Zamiast oddać się czczym spekulacjom, które nie mają końca i na których podstawie nie mógłby działać żaden polityk, powinniśmy znaleźć jasną zasadę, która sprawi, że państwa narodowe wezmą na siebie odpowiedzialność i zrekompensują poniesione ofiary, nie tracąc wolności działania. Olbrzymie transfery zasobów z Zachodu do reszty świata, często popierane przez radykalnych Zielonych, zniszczyłyby zdolność mocarstw zachodnich do podjęcia niezbędnych kroków, na które stać tylko państwa zachodnie. Takie destruktywne postępowanie nie przyniosłoby nikomu korzyści i z pewnością nie tego wymaga globalna sprawiedliwość.

Sprawiedliwość globalna może oznaczać jedynie uczciwe rozdzielenie ponoszenia ofiar na podmioty, które muszą je ponosić. Sprawiedliwe rozdzielenie nie oznacza równego rozdzielenia. Jest to rozdzielenie, które uznaje nierówną odpowiedzialność za szkody i niejednakową zdolność do ich naprawienia. Ofiary powinny ponieść takie państwa, jak Wielka Brytania, Francja i Stany Zjednoczone. Lecz również korporacje, zarówno państwowe, jak i międzynarodowe, oraz takie podmioty gospodarcze, jak Gazprom, które są maskami korporacyjnymi noszonymi przez siły polityczne, a częściowo także przez elity kryminalne. Sprawiedliwość ta wymaga, aby więksi truciście poświęcili więcej potrzebnych zasobów. Zasoby te powinno się przeznaczyć na finansowanie badań nad uzyskaniem czystej energii oraz dotowanie transferu energii do „krajów rozwijających się”. To z kolei oznacza dostarczanie czystej energii ludziom z rozwijających się części świata bez względu na to, czy mają rządy, które mogą powiedzieć w ich imieniu „my”. To perspektywiczne podejście do problemu rekompensaty obejmuje takie pojęcia definiowane w tej książce, jak tożsamość narodowa, odpowiedzialność międzypokoleniowa i pierwszeństwo inicjatyw decentralizujących nad radykalnymi celami. Kwestią sporną jest to, czy to perspektywiczne

podejście łatwo byłoby przyjąć. Alternatywa jednak – czyli bicie się w piersi Zachodu i kolejne transfery do afrykańskich kleptokracji – pozostawi Ziemię w tym samym opłakanym stanie, w jakim jest ona dzisiaj.

Nasza tradycja filozofii moralnej jest wytworem myślicieli, którzy żyli w warunkach niedostatku, bez świadomości, że zużywają skończone zasoby, od których zależy życie ich następców. Jeżeli ich pisma sygnalizują jakiekolwiek napięcia w praktyce moralnego osądu, to są to napięcia między dążeniem do szczęścia a poczuciem obowiązku. Według kantystów obowiązek jest wszechobejmujący, a dążenie do szczęścia jest mu podporządkowane. Według arystotelików szczęście jest ostatecznym dobrem, a cnota środkiem do niego: postępowaniem wobec innych powinny rządzić szczegółowo określone wymogi przyjaźni i sprawiedliwości. Z arystotelesowskiej moralności nie wyłonią się prawdopodobnie żadne jasne reguły, a od naśladowców Kanta można otrzymać tylko chłodny i odpychający rachunek ludzkich zalet i wad. Tak więc jeszcze przed kryzysem środowiskowym, który obecnie przeżywamy, filozofowie bynajmniej nie mówili jednym głosem o tym, jak powinniśmy żyć. Mimo to istnieje nadzieja, że życie według cnoty i życie zgodnie z obowiązkiem w normalnych okolicznościach powinno się pokrywać i że jedno i drugie otrzyma wsparcie naszych pobożnych uczuć.

W czasach tamtych filozofów niełatwą równowagę między człowiekiem a naturą utrzymywały wojny i choroby. Równowagę tę pe-

chowo zakłóciła naukowa medycyna i nie ma nadziei na zwykły powrót do tamtego stanu (poprzez jakąś niszczycielską epidemię). Nie powinniśmy też do niego dążyć ani go oczekiwać. To wówczas zaczęto uznawać za cnotę gotowość do poświęcania się dla swoich dzieci. Życie rodzinne, szacunek dla rodziców i miłość do potomków uznano za żyzną glebę życia moralnego, a unikanie ich było czymś wstydlwym. Przeludnienia nie brano pod uwagę, a skończoność zasobów rozumiano tylko jako parabolę śmiertelności człowieka, a nie nieodległą i przygniatającą katastrofę. Jednym ze sposobów rozumienia tego pierwszego ponurego wołania współczesnej ery – będącego zapowiedzią zaratustrańskiego nadczłowieka (*Übermensch*), jednocześnie artyści i akrobata, lecz nie ojca ani króla – jest wezwanie do przetworzenia ludzkości. Mamy być gatunkiem, który odwraca się plecami do reprodukcji, gatunkiem, który zmierza do swego kresu¹.

Miłosierdzie każe nam pomagać biednym i chorym, co zwiększa jeszcze obciążenie ziemi. Nasze obowiązki zarówno wobec bliskich, jak i obcych wymagają korzystania z nowoczesnej medycyny, zachęcającej, byśmy konsumowali zasoby, których nie potrafimy odnowić. Cnota kardynalna umiaru ma pozytywny ekologicznie skutek uboczny. Cnota sprawiedliwości jednak nie pozwala nam narzucić umiaru populacjom, dopiero od niedawna cieszącym się bogactwem i wolnością, które my i nasi przodkowie znamy od wieku lub dłużej. Współczucie dla potrzeb ludzi obecnie żyjących może nas pchać do rozwijania, eksploatowania, a nawet niszczenia naturalnych zasobów. Pobożność natomiast wskazuje kierunek przeciwny. Nie pozwala nam naruszyć ukochanych krajobrazów ani zakłócić delikatnych ekosystemów, bez względu na to, jak bardzo niszczymy istniejące interesy i potrzeby. Za sprawą książki Rachel Carson *Silent Spring* rozpętała się kampania

¹ Na temat ekologicznego znaczenia Nietzschego zob. Peter Sloterdijk, op. cit.

przeciwko DDT niszczącemu owady, a wraz z nimi cały łańcuch pokarmowy, którego były częścią. Kampania się powiodła. Na skutek tego w Afryce gwałtownie wzrosła populacja komarów i wiele milionów dzieci, które w innym razie by przeżyły, zmarło na malarię².

W świetle tych i innych konfliktów, aktualnych albo się rodzących, prawdopodobnie jest, że aby pogodzić, jeśli to w ogóle możliwe, osobisty obowiązek z ekologiczną pobożnością, należy zupełnie na nowo przemyśleć kwestię tego, czym jest śmiertelność. Czy nie mamy żadnych zobowiązań wobec Ziemi?³ Czy nie powinniśmy dążyć do tego, by zostawić możliwie najmniejszy ślad węglowy; traktować Ziemię jak wrażliwą matkę, której jesteśmy winni wdzięczność i miłość; szanować dzieła natury i spożywać tylko te rzeczy, które były właściwie zasiane i zebrane – może nie jeść w ogóle mięsa i żyć skromnie i ascetycznie jak tybetański mnich?

Muszę wyznać, że kiedy czytam pisma z wyższością moralizujących eko-krzyżowców, budzi się we mnie duch myśliwego. Słyszę głos Arystotelesa, wychwalający cnotę wielkoduszności i wspaniałomyślności, przypominający mi, że sprawiedliwość bez przyjaźni jest tylko w połowie cnotą i że przyjaźń oznacza wspólne poszukiwanie dobra, w którym dawanie i branie, odwaga i niebezpieczeństwo należą do umowy. Eko-purytanie nie pasują do tego obrazu i mają skłonność do rzucania cienia na wesołą kompanię, świadomi ogona komety marnotrawstwa, który ciągnie się za naszymi świętami. Chciałbym myśleć, że środowiskowa prawość nie wymaga ode mnie rezygnacji z radości życia, zwłaszcza tych radości, które biorą się z przynależności do uprzywilejowanego gatunku, zdolnego zjadać przedstawicieli każdego innego, jeśli tylko staną mu na drodze.

² Donald Roberts i in., *The Excellent Powder: DDT's Political and Scientific History*, Indianapolis 2010, rozdz. 4 i 5.

³ Stephen Clark, *Gaia and the Forms of Life*, [w:] Robert Elliot, Arran Gare (red.), *Environmental Philosophy: A Collection of Readings*, New York 1983; Angelika Krebs, *Ethics of Nature*, op. cit.; Klaus M. Meyer-Abich, op. cit.

Rozwiązaniem jest według mnie troska o dom, przy jednoczesnym życiu nie skromnym, ale umiarkowanym, nie skąpym, ale roztropnie hojnym, aby można było upiększać i odnawiać ziemię i wspólnotę, z którą jesteśmy związani. Oczywiście to wszystko, co spożywamy, ma znaczenie – nie powinniśmy kupować produktów, które docierają do nas drogą destrukcji. Nie powinniśmy więc robić zakupów w supermarketach, powinniśmy spożywać tylko mięso zwierząt, które wzrastały otoczone troską w zrównoważonej hodowli albo które upolowano w humanitarny sposób; powinniśmy unikać produktów pakowanych i szukać żywności od lokalnych dostawców. I być może powinniśmy spędzać wakacje w domu, a w każdym razie w jakimś znanym i często odwiedzanym miejscu, do którego możemy dotrzeć, nie podpalając planety. Nie powinniśmy trzymać niszczących środowisko, mięsożernych domowych ulubieńców, takich jak koty i psy. I powinniśmy żyć w rodzinach, dzieląc zasoby, nie po to, by wykorzystywać nawzajem swoje ciepło (choć i to jest dobre), ale by tworzyć źródła duchowe, od których zależy ziemia, a którymi są dom i nasze do niego przywiązanie.

Zasady te są oparte na bogactwie i wolności, których możemy się wyrzec tylko za cenę, jakiej większość z nas nie chce zapłacić. Są małymi adaptacjami – dobrymi dla duszy i wzmacniającymi najlepsze z naszych motywacji. Lecz przede wszystkim są wynalazkami uspokajającymi sumienie: nie wymagają od nas wiele ani niczego, co byłoby trudne do zniesienia, może z wyjątkiem nakazu, byśmy żyli w rodzinach. Najtrudniejszą rzeczą jest wprowadzenie ojkoofilii w życie. Oznacza to bowiem związywanie się z innymi, by wieść życie obywatelskie; oznacza przeciwstawianie się entropii, bez względu na to, czy przychodzi z dołu w formie społecznego nihilizmu, czy z góry w formie ojkofoicznych rozporządzeń; oznacza tworzenie i wspieranie otoczenia. Oznacza aktywne przekazywanie następnemu pokoleniu tego wszystkiego, co mamy dzięki wiedzy i zdolnościom,

oraz wpajanie naszym następcom ducha zarządu, który także my w naszych działaniach przejawiamy. To ciężka praca, wymagająca cierpliwości i poświęcenia. Ale przecież „lepsza potrawa z jarzyn z miłością niż tłusty wół z nienawiścią”⁴.

⁴ Prz 15,17, przekład za: Biblia Tysiąclecia, wyd. 5. Pallottinum, Poznań 2002 – przyp. tłum.